Andrzej Krakowski, autor Pollywood: Żyjemy w ich snach.

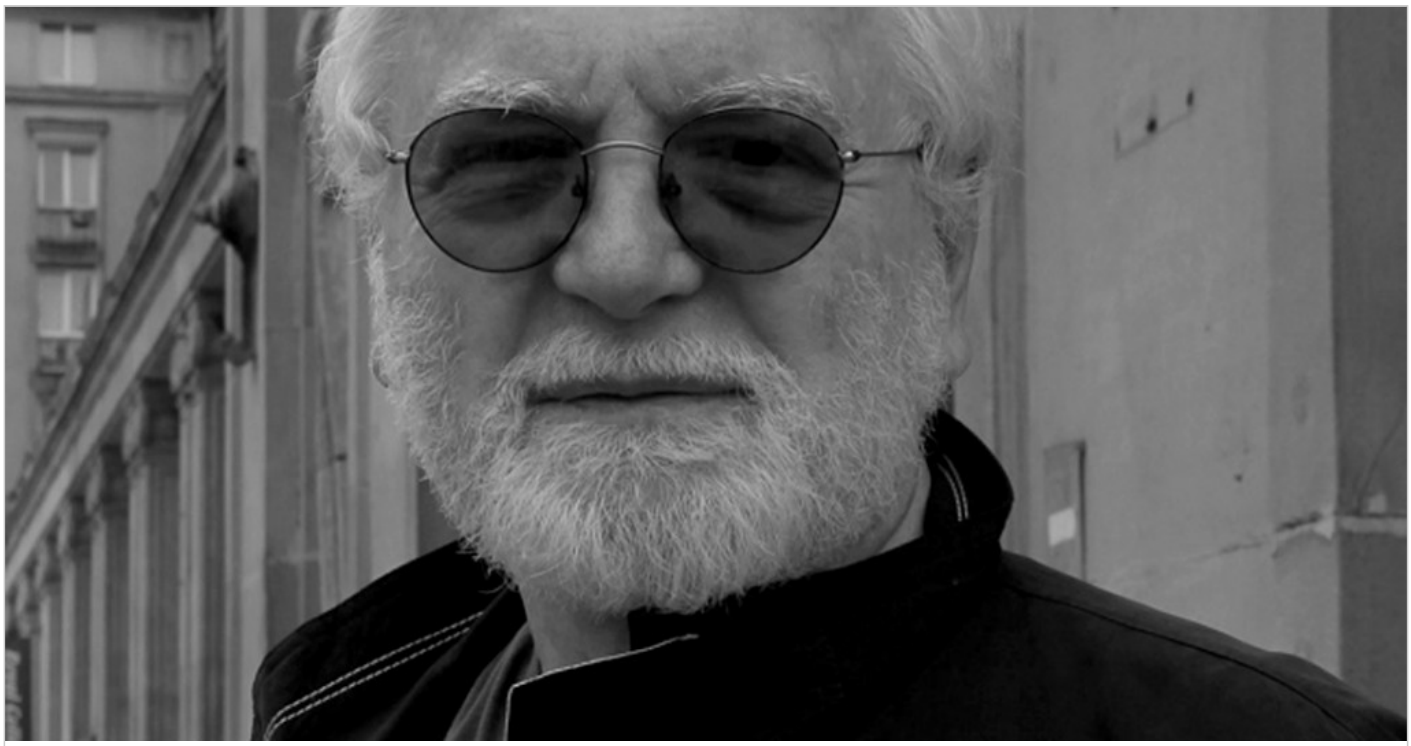

Andrzej Krakowski, fot. archiwum prywatne.

O nostalgii za Wrocławiem, trudach emigracji, zajęciach z

Hitchcockiem i okolicznościach powstania książek o polskich korzeniach Hollywoodu, ze znanym reżyserem, scenarzystą, pisarzem i wykładowcą, Andrzejem Krakowskim, rozmawia Barbara Lekarczyk-Cisek.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Spotykamy się we Wrocławiu, gdzie promuje Pan swoje książki: ”Pollywood”, opowiadające o tym, że Hollywood stworzyli głównie polscy emigranci. Ale tych poloników jest znacznie więcej. Podobno Pański ojciec urodził się właśnie tutaj – w stolicy Dolnego Śląska?

Andrzej Krakowski: Tak, mój ojciec urodził się we Wrocławiu, kiedy jeszcze to miasto nosiło nazwę Breslau. Także moja żona pochodzi z Wrocławia. Ja sam jestem związany z tym miastem uczuciowo. Między 1956 a 1968 rokiem ojciec *[Józef Krakowski – przyp. B.L.-C.]* był szefem produkcji zespołu Forda, a następnie ”Kamera”, a ponieważ nie lubił Warszawy, wiele filmów realizował we Wrocławiu, m.in. filmy Wojciecha Jerzego Hasa, ”Nóż w wodzie” Romana Polańskiego. Bardzo lubiłem z nim przyjeżdżać, bo to miasto żyło jakimś innym życiem. Brakowało mi świata, który chciałem poznać, a który zniszczyła wojna. W tamtym czasie Wrocław to jeszcze m



Ojciec Józef Krakowski (z lewej) na planie Noża w wodzie z Romanem Polańskim, fot. Filmoteka Narodowa.

ział, podobnie Łódź. Po latach, kiedy miałem możliwość przyjechać do Polski w 1986 roku, wróciliśmy właśnie do Wrocławia. I oczywiście kręciłem tu filmy.

BLC: Czy to ojciec sprawił, że zainteresował się Pan filmem?

AK: Nie, przeciwnie – ojciec bardzo nie chciał, abym zajmował się filmem. Kiedy po maturze złożyłem papiery do szkoły filmowej w Łodzi, bardzo się zdenerwował. Uratował mnie fakt, że pięciu uczniów z mojej klasy wyselekcjonowano na studia dyplomatyczne do Moskwy, w rezultacie czego ojciec uznał, że już lepsza od tego jest szkoła filmowa.

Filmem zaraził mnie Andrzej Munk, który był zaprzyjaźniony z ojcem i całą naszą rodziną. Kiedy zabierano mnie na spacery do Lasku Bielańskiego, a ja bez przerwy gadałem, to Andrzej kładł mi palec na usta i mówił, abym powiedział to wszystko jednym słowem. W ten sposób uczył mnie nie tylko pewnej ascezy, ale również estetyki ironii. To we mnie pozostało, a ironia przekradła się również do moich książek.

Z perspektywy lat lepiej rozumiem, dlaczego ciągnęło mnie do filmu. Kiedy wprowadzono religię do szkół, zaczęto nas, nie biorących udziału w zajęciach, szykanować. Będąc na planie filmowym u Munka (”Zezowate szczęście”) oraz Nasfetera (”Małe dramaty”), zwróciłem uwagę na to, że reżyser tworzy własny model świata. Pomyślałem wtedy, że dobrze by było stworzyć taki własny świat, w którym by mi nikt nie dokuczał, szczególnie że byłem rudy, mały i na dodatek Żyd *(śmiech*). W tym świecie panowałoby dobro.

BLC: Chciał Pan w gruncie rzeczy reżyserować swoje życie, by

mieć na nie wpływ…

AK: Tak, chciałem mieć na nie wpływ.

BLC: Studia to bardzo ważny okres w życiu młodego człowieka zetknął się Pan z wieloma indywidualnościami. Kto w tamtym czasie był Pana mistrzem?

AK: To się właściwie zmieniało. Na pierwszym roku był Jerzy Passendorfer, który nas szybko zagnał do pisania scenariuszy, bo już wtedy miał zamiar kręcić film o Janosiku. Podobno sporo naszych pomysłów weszło potem do tego filmu.

Na drugim roku naszym opiekunem był Stanisław Różewicz, na trzecim – Andrzej Wajda, a na czwartym Janusz Morgenstern. Każdy przynosił ze sobą bagaż swoich doświadczeń, przeżyć i snów. Wajda, u którego odbyłem staż asystencki przy ”Popiołach”, był cudowny. Dzięki niemu wiedzieliśmy na przykład jak wywieść w pole cenzurę.

Już na początku studiów Stanisław Wohl polecił nam napisać na kartkach, jakie kino chcemy tworzyć za dziesięć lat. To miało być nasze credo artystyczne. Dokładnie pamiętam, co wówczas napisałem, a mianowicie, że fascynuje mnie los człowieka postawionego wobec wyborów, z których żaden nie jest dobry. Kiedy teraz patrzę w pewnej perspektywie na moje filmy,

dostrzegam w nich tę myśl, którą wówczas zapisałem.



Józef Krakowski z Wojciechem J. Hasem podczas kręcenia „Lalki”, fot. Filmoteka Narodowa.

BLC: Kiedy ukończył Pan szkołę filmową, otrzymał stypendium do USA, ale ten wyjazd okazał się bardzo brzemienny. Kiedy bowiem już Pan znalazł się w Stanach – był rok 1968 – okazało się, że odebrano Panu obywatelstwo i możliwość powrotu do

Polski. Jak wyglądało Pańskie życie w tym momencie, gdy trzeba było zacząć wszystko od nowa?

AK: Miałem wprawdzie w Stanach przyjaciół, m.in. Romka Polańskiego, który mi bardzo pomógł. I to w sposób bardzo mądry. Wszystko to jednak było rozciągnięte w czasie i trwało parę lat. Roman nie uległ namowom mojego ojca, który chciał, abym pracował z Polańskim, wiedząc, że taka zależność nie skończyłaby się niczym dobrym. Obiecał mi natomiast, że kiedy zacznę robić swój pierwszy niezależny film, wówczas przedstawi mnie szefom studiów filmowych. I tak się stało.

W tym czasie znalazła się ze mną na emigracji moja młodsza siostra, wtedy tuż przed maturą. Musiałem więc zacząć pracować, aby utrzymać ją, a wspomóc także ojca, który znalazł się bez pieniędzy we Frankfurcie. Miałem co prawda w Los Angeles rodzinę ze strony ojca, ale oni stosunkowo szybko umyli ręce. Myśmy byli już innymi emigrantami niż oni: lepiej wykształceni, wiedzieliśmy więcej o świecie, szybko nauczyliśmy się języka (zwłaszcza siostra). Kuzyn pomógł mi załatwić pracę w fabryce produkującej półki, znacznie oddalonej od miasta. Komunikacja była bardzo zła, więc nie mając samochodu musiałem liczyć na to, że podwiezie mnie właściciel. W rezultacie często sypiałem na… półce w fabryce. Ale gdy się ma – jak ja wówczas – dwadzieścia jeden lat, jest się niezniszczalnym i najmądrzejszym.

Kiedy więc robiąc dobrą minę do złej gry, naprawiłem zepsutą prasę hydrauliczną, awansowałem do roli kierowcy dużej ciężarówki. Było to duże wyzwanie, bo na początku nie miałem żadnego doświadczenia. Po opuszczeniu terenu fabryki, kiedy znikłem z pola widzenia szefa, zadzwoniłem do Marka Hłaski, który mieszkał wówczas w Hollywood i sporo drinkował. Upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiałem jego instrukcje. Prowadziłem ciężarówkę przez trzy miesiące i nie zdarzył mi się żaden wypadek, nie dostałem żadnego mandatu. Bardzo się wtedy pociłem, ale funkcjonowałem *(śmiech).*

BLC: Na szczęście zmagał się Pan z tą materią dość krótko. Co było dalej?

AK: W Los Angeles spotkałem dwóch ludzi, których poznałem w Warszawie: Henryka Warsa i Bronisława Kapera. Ojciec znał Warsa jeszcze z Armii Andresa, więc namówił mnie na spotkanie z nim. Okazał się bardzo serdeczny, ale niestety nie był w stanie mi pomóc. Skierował mnie do Bronka Kapera, który był wówczas jednym z szefów Akademii Filmowej i miał rozliczne znajomości. Ten jednak odmówił mi pomocy. Minęło sporo lat i stosunki między nami uległy poprawie, a nawet zawiązała się przyjaźń, ale na początku tak to wyglądało. Polański był w tym czasie w Londynie, a Krzysztof Komeda już nie żył.

Traf chciał, że na występy do Los Angeles przyjechała Ida

Kamińska i kiedy poszedłem się z nią przywitać, zostałem przedstawiony siwemu, dystyngowanemu panu, mówiącemu piękną polszczyzną, którym okazał się wybitny przedwojenny reżyser – Józef Lejtes. Zaopiekował się mną i poznał z innymi reżyserami. Poza tym dopingował mnie do nauki i mimo zmęczenia, mobilizowałem się. W pewnym momencie dostałem się do Amerykańskiego Instytutu Filmowego, który – o czym mało kto wie – został zorganizowany przez prof. Stanisława Wohla, któremu trzy miesiące przed otwarciem uczelni skończyła się wiza, więc wrócił do Polski. Ściągnięto wtedy Franka Daniela z czeskiej szkoły filmowej i powstanie uczelni przypisano Czechom.

BLC: Jak wyglądały studia w Amerykańskim Instytucie Filmowym? Kto Pana uczył? Podobno wśród wykładowców był także sam Alfred Hitchcock?

AK: Spotkania z Hitchcockiem wyróżniały się spośród pozostałych zajęć. Milos Forman i John Cassavetes unikali pomieszczeń, a ponieważ szkołę otaczał olbrzymi ogród, w nim odbywaliśmy zajęcia, siedząc pod drzewami. Hitchcock – przeciwnie, zdecydowanie wolał zamknięte pomieszczenia, a w dodatku zakazywał otwierania okiem albo drzwi balkonowych. Panowała absolutna cisza. Sam reżyser ubrany był zawsze w garnitur, do którego nosił krawat. Siadywał w wielkim fotelu i patrzył na nas bardzo przenikliwie i poważnie, podczas gdy myśmy truchleli. Co więcej, z szacunku dla niego ubieraliśmy się

również lepiej niż zwykle, za wyjątkiem Davida Lyncha, który wszystko robił na opak. Na zajęcia z Hitchcockiem ubierał jeansy i słomkowy kapelusz i mistrz zawsze patrzył tylko na niego. Z kolei na zajęcia do Cassavetesa i Formana przychodził ubrany w garnitur i znowu przyciągał wzrok.

Hitchcock zazwyczaj przynosił nam sceny, pochodzące głównie z jego programu telewizyjnego i przy okazji dawał świetne lekcje. Jedną z takich scen przygotowywał mój kolega Mike Murphy, który wszystko dokładnie poustawiał. Kiedy Hitchcock zapytał go, gdzie ustawi kamerę, wybrał miejsce twierdząc, że stamtąd będzie najlepiej widać. Na to mistrz bardzo się zdenerwował, nakrzyczał na Mike`a i wyrzucając mu, że nie ma żadnej wizji, kazał mu opuścić salę. W taki oto gwałtowny sposób nauczył nas, że filmu nie robi się dlatego, że coś dobrze widać. Reżyser musi dokonać wyboru i wiedzieć, czego chce. Mimo gwałtownego charakteru, miał zawsze na swoich zajęciach komplet słuchaczy.



Andrzej Krakowski, fot. mat.prasowe.

BLC: Pański wyjazd do Stanów, ze względu na jego okoliczności, przywiódł mi na myśl historię biblijnego Józefa, którego bracia sprzedali do Egiptu. Gdyby nie Pan, te książki, w których zawarł Pan historie Polaków – pionierów przemysłu filmowego, a także artystów, nie powstałyby. W którym momencie doszedł Pan do wniosku, że powinna powstać książka przybliżająca sylwetki ludzi o polskim rodowodzie, którzy stworzyli Hollywood?

AK: Na początku przeżywaliśmy gniew, ból i mówiliśmy już tylko po angielsku, próbując odciąć się od polskich korzeni. Widzieliśmy przy tym domy Warsa i Lejtesa, gdzie pielęgnowało

się język polski i czuło się dumę z faktu bycia Polakami. Zrozumiałem po pewnym czasie, że od tego nie można uciec. Nie ma łatwych emigracji. Moja siostra została programistką i świetnie sobie dawała radę, ja jednak byłem skazany na język, na inną mentalność i kulturę i było mi bardzo ciężko.

Bezpośrednią iskrą, która sprawiła, że podjąłem się napisania książek, był przyjazd Maćka Putowskiego – scenografa, który na polecenie Muzeum Kinematografii szukał w Stanach eksponatów na wystawę na stulecie kinematografii. Zapytał mnie o filmowców amerykańskich o polskich korzeniach. Kiedy zasypałem go nazwiskami, złapał się za głowę i stwierdził, że trzeba by zrobić o tym osobną wystawę. Ekspozycja ostatecznie nie powstała, ale zacząłem dojrzewać do napisania książki. Kiedy zacząłem szperać w poszukiwaniu informacji, zrozumiałem, że sam nie zdawałem sobie sprawy, jak wielka jest to skala.

BLC: Niektórych bohaterów swoich książek poznał Pan osobiście. Jacy byli prywatnie?

AK: Niektórych rzeczywiście poznałem osobiście. Jacy byli? Każdy był inny, ale wszyscy mieli pasje kolekcjonerskie i konkurowali ze sobą o to, kto ma lepsze obrazy. Potrafili być uszczypliwi w stosunku do siebie, np. Billy Wilder dokuczał Otto Premingerowi, że nie kupuje obrazów, tylko nazwiska. Dla Wildera, który tryskał humorem, życie było jednym wielkim

gagiem. Mieli też dla siebie dużo ciepła i pomagali sobie, gdy była taka potrzeba.

O niektórych bohaterach dowiadywałem się w niezwykłych okolicznościach. Tak było z Markiem M. Dintenfassem, który powinien był znaleźć się w pierwszym tomie – jako prawdziwy pionier, ale do materiałów o nim dotarłem znacznie później. Niezwykły człowiek, którego poznawanie sprawiło mi wiele satysfakcji, mimo że nie było osobiste. Tacy jak on i jemu podobni stworzyli pewną wizję świata i my dzisiaj żyjemy w ich snach.

BLC: Jest Pan nie tylko historykiem kina – odkrywcą jego polskich korzeni, ale także wykładowcą, scenarzystą i reżyserem. Pańska twórczość jest, niestety, w Polsce mało znana. Proszę wobec tego przybliżyć naszym czytelnikom problematykę Pańskich filmów.

AK: Zawsze powtarzam, że jestem w Polsce najlepiej utrzymanym sekretem (śmiech). Nie jestem ”tylko” filmowcem i nie znoszę szufladkowania. W gruncie rzeczy jestem humanistą: piszę, robię filmy, rysuję karykatury… Wszystko się u mnie zaczyna od idei, która sama sobie znajduje ujście. Czasami w formie książki, a kiedy indziej – filmu lub sztuki. Muszę też odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego chcę opowiedzieć tę właśnie historię. Zazwyczaj moje pobudki są głęboko

humanistyczne: nie chcę, aby ktoś doświadczył czegoś, przed czym pragnę go w pewien sposób przestrzec.

Filmem, który bardzo cenię i lubię, jest mój ostatni obraz – ”W poszukiwaniu Palladyna” (2009). Zrobiłem go z dwóch powodów. Po pierwsze, kiedy w czasie choroby żony znalazłem się w nowym otoczeniu nieznanych mi ludzi, doświadczyłem wiele serdeczności i opieki, za które chciałem swoim filmem podziękować. Po drugie, zauważyłem, że młodzi ludzie są wiecznie roznarzekani, a przy tym niecierpliwi i chętnie idą na gotowe. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego tacy są – co myśmy im takiego przekazali. My, to znaczy pokolenie lat sześćdziesiątych – dzieci-kwiaty, które były narcyzami interesującymi się wyłącznie sobą i które rozbiły naturalną strukturę rodziny. Nikt młodemu pokoleniu nie powiedział: ”Przepraszam, to ja zawiniłem” i ja poprzez ten film chciałem to zrobić.

BLC: Czym się Pan aktualnie zajmuje? Czy powstanie trzeci tom Pańskiej historii Hollywood?

AK: Jestem w trakcie pisania. Dodam, że cały ten cykl książek będzie miał swoją wersję filmową. Każdemu z moich bohaterów poświęcę jeden odcinek serii filmów dokumentalnych. Zgromadziłem materiał na pięć książek – ponad pięćdziesiąt postaci i chciałbym wykorzystać zarówno materiały archiwalne,

jak też inscenizacje i fotoanimacje. Zamierzam rozbudować ścieżkę dźwiękową i nagrać komentarz w siedmiu językach, co pozwoli mi dotrzeć do widzów na całym świecie. Ponadto planuję nakręcić film fabularny o Krzysztofie Komedzie, ponieważ do tej pory nikt nie powiedział prawdy o jego życiu. Znaliśmy się już w czasach dzieciństwa i przyjaźnili; byłem świadkiem jego wypadku i opiekowałem się wraz z innymi podczas jego pobytu w szpitalu. Czas odkłamać wszystkie powstałe wokół jego osoby mity.

http://kulturaonline.pl